



1

WILNO – VILNIUS

Aleksander Jackowski

Nie wiem, czy kiedykolwiek bym pojechał do Wilna, gdyby nie konieczność zebrania materiału do numeru litewskiego. Zbyt wiele mitów, narosłych przez lata, prysnęło w zderzeniu z rzeczywistością. Bałem się konfrontacji wyobrażeń, które miałem z tym, co zastanę. Bo też, jeśli ja w nim nigdy nie byłem, Wilno „od zawsze” było we mnie. Może przez kult Marszałka, może przez wspomnienia z dzieciństwa, ale miałem do Wilna stosunek szczególny. Tam biło dla mnie serce Polski. Nie w Krakowie, nie w Warszawie. Wilno to była Ostra Brama, cmentarz na Roszie, trzy krzyże nad miastem, filomaci, cela Konrada, Mickiewicz, *Dziady*. Uwielbiałem wileńską mowę, miękką, rozlewną, serdeczną. Często słyszałem ją w domu i do dzisiaj pozostało we mnie przekonanie, iż nie ma w Polsce piękniejszej mowy – niż ta wileńska. I lwowska. Wiem, że to nieprawda, ale wciąż pokutuje we mnie wiara, że „prawdziwa” Polska, to były Kresy. Oczywiście na ten stosunek do Wilna złożyły się i lektury, Miłosz, Konwicki, oglądane fotografie Bułhaka, fascynacja wileńskim barokiem. Krótko mówiąc – Wilno było we mnie.

A teraz lustro się odwróciło. Ja pojechałem do Wilna. Autobus krążył, zdawało się, bocznymi ulicami i nagle utknął nosem w betonowym korycie. Pasażerowie zaczęli wychodzić. A gdzie centrum? – zapytałem. Wskazali mi na schodki, brudne, betonowe. Rzeczywiście, wyżej był tętniący życiem plac. Dworzec kolejowy. Pętla trolejbusów. Przypomniały mi się radzieckie miasta z lat wojny. Dużo złe ubranych ludzi, hałas, ruchliwość mrowiska, drewniane budy, we wszystkich to samo, papierosy, batony – Marsy, Twixy, Milky-Way'e, bułeczki owinięte w celofan. Rzędem telefony, pogięte, ale czynne. Szyby w kabinach wybite. Brud. Telefony bezpłatne, nie wiadomo bowiem, co wrzucać.

Właśnie zrobiono wymianę, ustalono kurs lita, bez sensu, w ciągu kilku dni poleciał w górę. Monety, miedziaki. Małe, z trudem się je rozpoznaje. W trolejbusie kierowca prosi o 14 centów. A ja mam całe dolary. Skąd wezmę centy? Okazuje się, że to te miedziaki tak się nazywają. Jadę „16” do ostatniej pętli. Tam ma na mnie czekać pani Wanda Mieczkowska z numerem pisma „Znad Wilii” w ręku. Jadę pół godziny. Same Ursynowy. Bloki, blokowiska, ale przyjemne, bo dużo zieleni oddziela od siebie mieszkalne dzielnice. Architektura w typie nam znanym, czasem bryła budynku wyraźnie ciekawa. Wypatruję – gdzie Wilno?

W gościnnym domu państwa Mieczkowskich ruch do późna w nocy. Jutro dzieci idą do szkoły, Monika po raz pierwszy. Gospodarz przychodzi późno, pisze komunikat, który po godzinie słyszymy nadany przez BBC – właśnie ostatnie oddziały Czerwonej Armii opuszczają miasto. Czy były dzwony? – pytają w rozgłośni. – Czy był entuzjazm? Mieczkowski coś tłumaczy. Euforii nie ma, w końcu chodzi o 150 żołnierzy. Cała sprawa nagłośniona, by przysporzyć chwały Brazauskasowi.

Dowiaduję się od gospodarza o sytuacji politycznej, delegacja litewska jedzie jutro do Warszawy na rozmowy w sprawie paktu-deklaracji. Jasne, że nie da to rezultatu. Oni upierają się przy tym, aby Polska przeprosiła ich za gen. Żeligowskiego. Liczę – miałem wtedy niecały rok, jakże więc mam przeproszać? To i Francuzi powinni prosić o przebaczenie, że Napoleon spalił Moskwę. Zastanawiamy się, co powie Papież Polakom. Spotkanie z niewielką grupą – 1000 ludzi. Drażliwa sytuacja, doskonale zdają sobie z tego sprawę.

Śpię w mieszkaniu matki pani Wandy. Czarująca starsza Pani, wszędzie, na półeczkach, na ścianach, emblematy narodowe, Matka Boska Ostrobramska, liczne zdjęcia i re-

2



3



produkcje obrazów z Marszałkiem, Wałęsą, Orzeł Biały w Koronie, proporczyki... Polskość jest tu tęsknotą, jej znaki potrzebą. Nic z demonstracji, zresztą wobec kogo?

Kilka dni krążę po mieście. Jeżdżę, telefonuję, ciągle bywam u nowych ludzi. Gdzie jest Wilno? – zadaję sobie pytanie. Profesor Vėlius – ten już blisko mieszka, zabudowania wyraźnie z lat trzydziestych. Ale do starego Wilna docieram dopiero na trzeci dzień. Na nic okazuje się moje ślęczenie nad starą mapą miasta. Ulice mają nowe nazwy, reklamy, szyldy – wszystko po litewsku. Jestem przecież w litewskim mieście.

Co w nim zastanawia? Przede wszystkim bieda, niższy niż u nas standard życia, ubiorów. Nikt, nigdzie się nie uśmiecha. W trolejbusach (dużo ich, jeżdżą szybko, bez awarii) tłok, a nawet, gdy go nie ma – przepychanie, brak elementarnej grzeczności. Schamienie, spadek po latach sowietyzacji, kiedy to grzeczność uważano za burżuazyjną pozostałość, a w dobrym „młodzieżowym” tonie było demonstracyjne okazywanie braku szacunku starszym. Wrażenie ogólne – deklasacja. Dużo pytam, z potrzeby i bez potrzeby, dla orientacji w tym, jak się będą ludzie zachowywali, gdy ich zagadnę po polsku bądź po rosyjsku. Starsi od razu rozpoznają akcent, niech pan mówi po polsku – proszą. Polaków spotykam, jest ich tu blisko 20%, przeważają ludzie w podeszłym wieku. Inteligencji niewiele. Bardzo mało. Wielu Litwinów zna nasz język, ale mówią z trudem, źle. Później dowiaduję się, skąd ta znajomość języka – z telewizji. W latach sowieckiej okupacji Polska była dla Litwy Zachodem. Jak dla nas Paryż czy Londyn.

Zwłaszcza dla inteligencji, artystów, ludzi, z którymi się komunikowałem, polska telewizja była oknem na świat. Z niej poznawano filmy Kurosawy, Buñuela, Bergmana, Antonioniego, Felliniego, Herzoga, Wajdy.

W Polsce, gdy mówiłem, że jadę do Wilna ostrzegano mnie: Zwariowałeś! Na szosach bandyci, w mieście ludzie nieżyczliwi, nastroje antypolskie. Zbójców na drodze nie widziałem, tylko na granicy spotkałem celników litewskich, którzy cierpliwie czekali, licząc, że im pasażerowie z Polski coś odpalą. Skoro jednak nikt nie przejawiał takiej chęci po godzinie pozwolili nam odjechać. A w Wilnie ludzie życzliwi, widząc moje kłopoty, kobieta prowadząca trolejbus zaofiarowała się nawet, że mi załatwi nocleg. Kiedy o coś pytałem – informowano. Ale podkreślałam to – bez cienia uśmiechu. Znużeni ludzie, jakby odwykli od tego, by sobie okazywać życzliwość. Bez entuzjazmu, bez spontaniczności, nawet w czasie przejazdu Papieża przez miasto. „Tacy już są u nas ludzie”, tłumaczyli mi moi litewscy rozmówcy. Wszyscy oni serdeczni, gościnni.

Prof. Gibavičius, gdy mu przekazałem pozdrowienia od Andrzeja Strumiłły, zajął się mną z ochotą, pokazał w hallu Uniwersytetu rzeczywiście bardzo interesujące freski Petrasa Repšysa oraz swoje, znane mi już zresztą z „Lithuanii”. A później chodziliśmy po starym Wilnie, kościołach, zaułkach, uliczkach. Jakoś inaczej to sobie wyobrażałem, większe, rozleglejsze. Ostra Brama zaskoczyła mnie swoją intymnością, sądziłem, że to centrum Wilna, ale na tym właśnie polega niebezpieczeństwo konfrontacji wyobrażeń z rzeczy-



4



5

wistością, „moja” Ostra Brama była większa, piękniejsza, jak na serce miasta przystało. A tu zaułek. – To klasztor Bazylianów, objaśniał profesor. Cela Konrada. Patrzyłem raczej zaskoczony, niż wzruszony. W inscenizacji *Dziadów* wyglądał inaczej. Porównywałem więc rzeczywistość z tym, co wywarło na mnie silne wrażenie w przedstawieniu Swinarskiego. Tamten, teatralny klasztor wydał mi się ciekawszy. Czuję się paskudnie. – To dom Miłosza. Nie zapytałem – Oskara czy Czesława. Szczerze mówiąc niewiele mnie to obchodziło. Tyle, co turystę, który zwiedza Paryż, chodząc od jednego do drugiego miejsca pamiętnego dla Polaków.

Ulice były czyste, domy odnowione, starówka przygotowana na przyjazd Papieża. Wysiłek miasta budził podziw, zwłaszcza, że znałem dobrze problemy Krakowa. Wszystkiego nie ocala, to oczywiste, ale i tak dokonali wiele. Na ile jednak jest to rzeczywista konserwacja? Zastanawiałem się, czy aby nie jest to tak, jak z tym szykowaniem Rynku Krakowskiego na jubileusze. Fasady piękne, a w murach wilgoć. Jednak łatwiejsza jest sytuacja Wilna, nie zbudowano obok niego Nowej Huty, nie niszczy go Skawina i śląskie wiatry.

Po dwóch latach niepodległości nie widać śladów zewnętrznych sowieckiej okupacji. Usunięto pomnik Lenina, pewnie i inne „niedobre”, na wszystkich domach, gdzie się mieszczą urzędy i instytucje, nowe, solidne tabliczki z miedzi. Zmieniono nazwy ulic. Po raz który w XX wieku? Taka np. aleja Gedymina nazywała się w dwudziestoleciu aleją Mic-

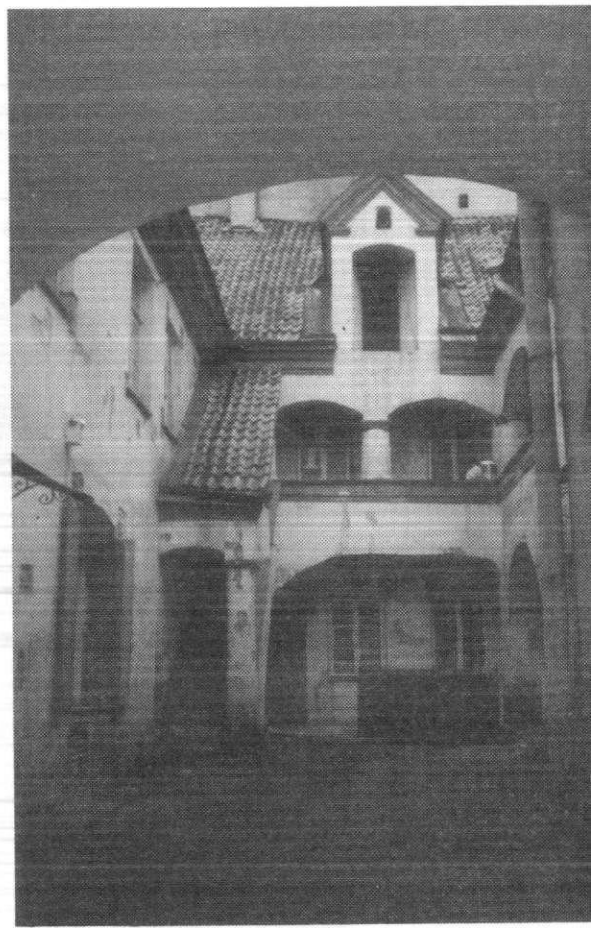
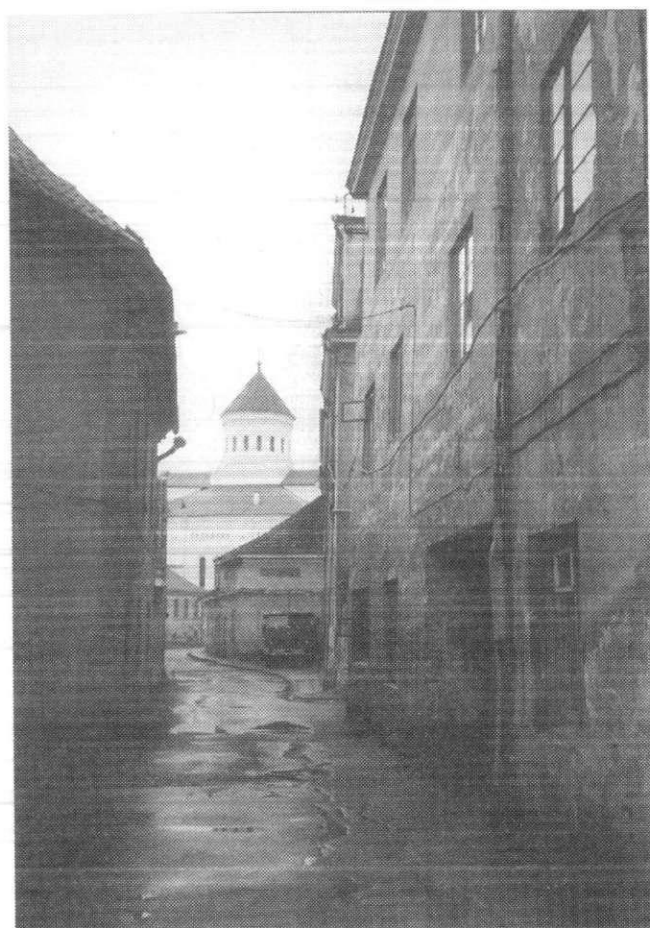
kiewiczza, później, aż do wyzwolenia – Lenina.

Dużo chodziłem po mieście, oglądałem cerkwie, kościoły, nawet odbudowywaną z ruin Synagogę – dla Żydów, których tyle, co na lekarstwo. Aleja Gedymina, pusta, bez samochodów (wizyta Papieża) przypominała mi Boulevard Saint-Michel w Paryżu. Piękny skwer przed gmachem dawnego KGB, też jak z Paryża. Katedra z dzwonnica piękna, nawet ładniejsza niż na fotografiach. Śliczne miasto. Zwłaszcza centrum i dawna jego część. Ale... jakoś obce. Swoją urbanistyką, życiem ulic i placów, sztyldami, witrynami sklepów.

Zaskoczyło mnie to, zastanowiło. Tak chciałem, aby było inaczej. Ale nie było. Chyba dlatego, że miasto – to nie tylko domy, kościoły, zabytki. To przede wszystkim ludzie, klimat, który oni stwarzają. Szukałem Wilna, znalazłem w istocie Vilnius. I nie ma na to rady. To już inne miasto, inny kraj. Nie wiem, jak reagują na nie ludzie urodzeni tam przed wojną zapewne ze wzruszeniem znajdują ślady przypominające im młodość, dzieciństwo... Ale i dla nich musi to już być inne miasto. Nie kresowe, nie piękne w swej prowincjonalnej skali, lecz prężnie się rozrastające. Ponad trzy razy większe, blisko 700-tysięczne.

Wilno, jakie było, jakie w sobie pielęgnowałem – nie istnieje. Należy do przeszłości. Pięknej, ale wyczuwalnej już tylko w zabytkach, we wspomnieniach, w pamięci starych ludzi. Wilno realne nie istnieje. Jest Vilnius – stolica Litwy.

6



7

